

KOSZMARNE LATA DWUDZIESTE



Radosław Budkiewicz

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

KOSZMARNE LATA DWUDZIEŚTE

Radosław Budkiewicz

© Copyright by Radosław Budkiewicz & e-bookowo

Zdjęcie na okładce: by Mathew MacQuarrie
from unsplash.com/@matmacq
Projekt okładki: e-bookowo
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-170-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2021

[Kup książkę](#)

Dla Ciebie, Tato

Rozdział 1

Słońce w końcu skryło się za zachodem. Niebo od długiego czasu mieniło się odcieniami różu, stopniowo schodzącego w ciemniejszą barwę, by ostatecznie stać się mocnym, zimnym fioletem. Choć światło dnia zanikało i do nocy było jeszcze trochę czasu, gęste chmury sprawiały wrażenie późniejszej pory, niż była rzeczywistość. Dla większości ludzi i zwierząt oznaczało to przygotowania do snu i zasłużonego odpoczynku.

Dla większości.

Nieliczni – zarówno ludzie, jak i zwierzyzna – dopiero zaczęli swoje łowy.

Potężne, gęste chmury pokrywały znaczną część nieboskłonu, a gdzieś w oddali dało się słyszeć basowy pomruk nieustannie zbliżającej się burzy. Towarzyszył on kaszlowemu warkotowi starej, zajeżdżonej półciężarówki ford, jadącej niespiesznie, poboczem, złobiąc w wysypanej żwirem drodze głębokie koleiny. Żółte, mdłe światło padające z reflektorów zalewało najbliższy krajobraz.

Boston zaczynał się wyludniać. Ulice i uliczki pustoszały, stając się schronieniem dla zbłąkanych mężczyzn i kobiet, spieszących do domów bądź często nielegalnej pracy. Automobile stanowiły rzadkość; stara półciężarówka, model pamiętający jeszcze czasy

Wielkiej Wojny, była jedną z dwóch maszyn w tej okolicy. Drugą był klasyczny już model T, sunący w przeciwnym kierunku z niewielką prędkością. Gdy przejechał, kałuże lekko chlusnęły wodą.

Siedzący za kierownicą półciężarówki mężczyzna nerwowo stuknął palcami w obręcz i zaciągał się mocno papierosem domowej roboty – skrzetem. W wieczornym półmroku trudno było stwierdzić, jak wyglądał. Z pewnością miał ogorzałą twarz, pokrytą rzadkim, acz przyprószonym siwizną zarostem oraz stary, postrzępiony kaszkiet, nasunięty nisko na czoło. Gruby sweter podciągnięty był pod samą brodę, chroniąc posiadacza przed wiosennym chłodem.

Obok niego, na środku kanapy, siedział znacznie młodszy i chudszy okularnik, z cieniutkim wąsem, mającym na celu upodobnienie do Chaplina, i włosami zaczesanymi do tyłu. Nerwowo miętosił w dłoniach czapkę, nie chcąc poddać się stresowi i napięciu. Nawet mimo tak słabego światła widać było doskonale, że jest tutaj, bo musi i nie czuje się zbyt pewnie. Jego totalnym przeciwieństwem był trzeci z mężczyzn.

On bowiem, śpiący przy bocznej szybie, z kaszkietem zsuniętym na twarz, był barczystym, potężnie zbudowanym jegomościem w roboczym drelichu, z dłońmi jak bochny chleba, brudnymi od smaru. Jego policzki pokrywał cień zarostu. Włosy miał krótkie i ciemne, tak przynajmniej prezentowały się pojedyncze kosmyki wypływające spod czapki. Śmierdział potem, rybami i smarem, a nade wszystko chrapał.

Na przednią szybę półciężarówki spadły pierwsze krople wiosennego deszczu. Nieliczni mieszkańcy Bostonu, czując na twarzach zimną wodę, przyspieszyli kroku, unikając też chlapiącej wody z kałuż. Dla trójki w pojeździe deszcz był szczególnie złym znakiem. Kierowca cmoknął, żując skrzeta

i przycisnął pedał gazu. Automobil kaszlnął raz, drugi i zaczął przyspieszać.

– Szlag by to, nie zdążymy przed burzą. Ziemia namoknie!

– Łatwiej będzie kopać – mruknął niewyraźnie śpiący, brudny od smaru mężczyzna. Poruszył się, przeciągnął. Albo miał płytki sen, albo dźwięki nadchodzącej burzy go obudziły. Młodziak milczał, niepewny tego, czy chce brać udział w tej rozmowie. Ostrożnie zsunął z nosa okulary, by przetrzeć oczy i zyskać na czasie.

– Dupa, a nie łatwiej – zachnął się kierowca. – Kopałeś kiedyś w mokrej ziemi? Błota po kostki na dzień dobry, a potem tylko gorzej!

– Kopałem i to nie raz, bo kazali. Że też ten irlandzki kutas ciągle rządzi portem...

– Co, Reilly kazał? Na Boga, współczuję.

– Zresztą, od brudnej roboty mamy tego młodego, sam go znalazłeś, Steve.

– Mnie? Co ja? – wtrącił się okularnik, pospiesznie wsuwając okulary. Z lekkim przestachem spojrzał na starszych kolegów, zdając sobie sprawę, że najgorsza i najcięższa robota spadnie właśnie na niego.

– Ciebie, mnie i Adriena – uściślił kierowca, ignorując młodziaka. – Kopanie w błocie będzie koszmarnie, no ale za darmo przecie nie robimy. Dzielimy się równo, jedna trzecia.

– Ano, za tyle grosza można żyć jak król. Nie to, co kiedyś, kupa roboty i parę docłów tylko. Młody, weź no sprawdź, kto tam zdechł ostatnio, może się trafi jakiś nagły świeżak. – Brudny robotnik, Adrien, sięgnął pod siedzisko i wyciągnął trochę pogniecioną, naderwaną gazetę. Okularnik burknął coś pod nosem, poprawił okulary i przekartkował „Boston Couriera”, szukając ostatnich nekrologów.

Półmrok – czy też raczej mrok, bo im dalej od centrum Bostonu, tym mniej było ulicznych latarni – nie sprzyjał czytaniu małych liter. Najmłodszy z trójki zmrużył oczy i podniósł papier blisko twarzy. Spędził na tej czynności dobrych kilka minut; w tym czasie półciężarówka zwolniła i zjechała na porośnięte strzelistymi topolami i brzoza pobocze. Gdy silnik zgasł, złowrogie pomruki burzy przybrały na sile. Deszcz również zaczął padać coraz gęściej.

– Hmm... Jessup Clayton Ostig, lat sześćdziesiąt pięć i Samantha Therese Erwin, lat czterdzieści dwa – odezwał się w końcu „młody”, odrywając twarz od gazety. – Tylko ta dwójka była ostatnio chowana na Evergreen, panie Collins – dodał pośpiesznie, niepotrzebnie tłumacząc się robotnikowi.

– I pewnie z pół tuzina innych, bezimiennych, bezdomnych, beznadziejnych. O nich nam przede wszystkim chodzi, młody – uzupełnił Steve, kierowca, żując skręta i rozglądając się przez okna zaparkowanego wozu. Zadowolony z pustki i ciszy, uśmiechnął się.

– Ale pan profesor płaci więcej za świeże! – zawołał w pełni już rozbudzony Adrien, poprawiając kaszkiet i sięgając do klamki. Jako pierwszy wysiadł z półciężarówki i od razu skierował się na tył, skąd wyciągnął sporych rozmiarów jutowy worek i zarzucił go na plecy z łatwością. Metalowe i drewniane narzędzia zagrzecotały.

– Płaci, ale musimy zachować ostrożność – ciągnął dalej kierowca, zatraskując za sobą drzwiczki. – Za bezdomnym nikt nie będzie tęsknił, dusza wróciła do Boga, ale ciało zostało z nami, zapamiętaj te słowa, Bob. – Poprawił swój kaszkiet, patrząc na ciemne niebo i kotłujące się chmury, po czym splunął siarczyście na ziemię. Małe kałuże lśniły w nikłym świetle, a ich powierzchnia drgała z kolejnymi kroplami deszczu.

Młody okularnik opuścił automobil jako ostatni. Niechętnie, jakby z lękiem. Chuchnął w dłonie, chcąc je rozgrzać przed oczekującą go pracą i sięgnął do wnętrza półciężarówki po łopatę, łom oraz kilof. Stęknął, próbując wszystko utrzymać w ramionach, ale gdy tylko zrobił parę kroków, narzędzia z donośnym łoskotem upadły na mokrą ziemię.

– Cholera by to! – zaklął drżącym głosem. Pochylił się, by zebrać rozrzucony sprzęt, gdy najbliższą mu okolicę zalało miękkie, acz rozedrgane światło. Okularnik z lękiem spojrzał na ogorzałą twarz kierowcy, unoszącego wysoko lampę sztormową. Ten potrząsnął tylko głową, rozglądając się dokoła. Było pusto i cicho. Cmentarz był otoczony nieszczególnie wysokim murem z drobnej cegły i kamienia, porośniętym bluszczem i chwastami; całość wieńczyła potężna brama z kutego żelaza.

Nie było tutaj jednak żadnych ozdobników, aniołów, krzyży czy świętych – powodem było to, że grzebani tutaj ludzie byli nie tyle każdej wiary i każdego wyznania, co przede wszystkim nie mający bliskich oraz stojący na niższych szczeblach drabiny społecznej. Oczywiście zdarzali się ci z wyższych sfer, ale stanowili rzadkość. Adrien stał chwilę przed bramą, rozważając, czy zdoła sforsować łańcuch oraz kłódkę.

W końcu jednak splunął przez ramię i ruszył wzdłuż muru, zmierzając w stronę niedużego wzniesienia. Ceglana ściana była tam nieznacznie niższa, ale trzeba było patrzeć pod nogi i uważać na korzenie, luźne kamienie oraz błoto. Deszcz ciągle padał bardzo oszczędnie, jednak należało mieć na uwadze, że szybko się to może zmienić. Trójka rabusiów musiała czym prędzej dostać się na teren cmentarza.

Wspinaczka po zboczu nie była łatwa, ale nie stanowiła też nie wiadomo jak wielkiej przeszkody; najwięcej trudności nastroczał

bagaż. Dotarcie do ściany, przy wtórze przekleństw, sapania oraz spluwania, zajęło może trochę ponad kwadrans. Drugie tyle trwało pokonanie samego muru i przeniesienie całego sprzętu.

– Za stary się na to robię – jęknął kierowca, upadając na kolana, gdy jako ostatni z całej trójki znalazł się na terenie cmentarza. W tej starszej części nekropolii znaleźć można było najwięcej grobowców i prywatnych kaplic grobowych, sięgających minionego, dziewiętnastego wieku. I choć większość z nich była w opłakanym stanie – popękane ściany, skruszone stopnie, uszkodzone rzeźby, wytarte napisy, zardzewiałe obręcze i tak dalej – to nie sposób było nie odnieść wrażenia, że człowiek obcuje z historią.

Steve jako pierwszy i zdecydowanie najbardziej wierzący ze wszystkich wykonał znak krzyża i zmówił krótką modlitwę. Pozostali od niechcienia powtórzyli jego gesty i zebrali sprzęt, ruszając dalej w drogę, do nowszej części, gdzie grzebano biednych i zapomnianych. Po przejściu kilkunastu metrów rabusie poczuli się pewniej; nikt nie mógł ich dostrzec z drogi. Stróż pilnujący cmentarza najpewniej siedział w swoim kantorku i pił zdrowie Volsteada, łypiąc tylko na burzowe chmury.

Dla przestępców pora była idealna.

Ciemno, lada moment zacznie się prawdziwa ulewa, a rozłożyste, wiekowe klony, jodły i świerki tłumiły blask lampy sztor-mowej. Igły tychże drzew, zalegające na ziemi dość grubą warstwą, w połączeniu z kolejnymi kroplami deszczu wyciszały kroki mężczyzn. Gdy zagrzmiało, było już oczywiste, że nikt ich nie usłyszy i nie dostrzeże.

Większość alejek nie była wąska, ale nie można też było ich nazwać szerokimi. Ot, w sam raz, by zmieścił się wóz zaprzężony w konia, by móc przetransportować trumnę bądź trumny.

Wystarczyło dotrzeć do głównej alejki i iść wzdłuż kolein oraz śladów kopyt, żeby dotrzeć do celu, jednak błoto niemiłosiernie oblepiało buty i utrudniało marsz.

– No, młody, do roboty – powiedział cicho Adrien, rzucając na zmokniętą ziemię worek z narzędziami, unikając rzecz jasna pierwszych, tworzących się kałuż. Moment później odebrał od okularnika część sprzętu i, rozglądając się chwilę po szeregu mogił, wbił łopatę w ziemię.

– Nie tu, na litość boską – poprawił go Steve, ściągając kaszket i wycierając spocone czoło. – Zmarł przed Bożym Narodzeniem, robaki już go zżerają. Tym razem profesor nie płaci nam za zeżarte truchło. Tam kopiemy, dziewczka pierwsza, potem chłop. – Wskazał najpierw prostą tablicę z przybliżoną datą śmierci, a następnie kopiec ziemi na drugim końcu alejki.

– Skąd w ogóle go znasz? Tego profesora? – Adrien burknął jeszcze coś pod nosem, a moment później wszyscy pracowali szybko i sprawnie, tak, jakby wykopywanie trumien i rabowanie ciał było dla nich może nie codziennością, ale czymś, o zgrozo, powszechnym.

– Pamiętasz, jak zimą robiliśmy dla Shauna? – odparł Steve, przerzucając szybko ziemię. – Wiesz, tego od Libby Murray?

– No, Libby pamiętam. Do tej pory mnie piecze w kroku.

– Shaun wspominał parę razy, że szykuje się zmiana, że to, że tamto, że sam Bóg zjeździe dla takich jak my i w ogóle, pieniądź będzie płynął jak Charles, a potem umówił mnie na spotkanie i tyle. Jakoś poszło – zakończył, wbijając łopatę i ocierając pot z czoła.

– Jakoś – powtórzył Collins, nie przerywając pracy. Brzmiało to sensownie, w branży przestępczej wszystko się tak załatwiała. Znajomościami. Poprzez polecenie. Tak zwaną pocztą pantoflową. Okularnik milczał, przysłuchując się rozmowie,

coraz bledszy i bledszy na twarzy. Nie tak wyobrażał sobie nielegalną fuchę.

Blisko pół godziny później łopaty uderzyły w tanie, sosnowe deski. Cała trójka, spocona i zmęczona jak nieboskie stworzenia, zrobiła sobie przerwę; ryzykowali, ale wykonali pracę całkiem sprawnie i szybko. Unieśli twarze ku niebu, pozwalając, by zimny deszcz oczyścił skórę z potu i drobin ziemi. Adrien sięgnął do worka i wyciągnął butelkę po mleku pełną bursztynowego płynu.

– Śmiało, znam czarnucha, który handluje księżycówką, można mu ufać. – Na potwierdzenie tych słów przechylił butelkę i upił duży łyk. Skrzywił się i podał ją dalej. Młody niechętnie przyjął trunek, przełknął trochę, krzywiąc się i krztusząc. Alkohol był piorunującej mocy, gorzki, oleisty, z dziwnym metalicznym posmakiem, ale swoje zadanie spełniał. Pozostała dwójka zaśmiała się głośno na widok krztuszącego się młodego chłopaka.

– Dobra, koniec, wyciągnijmy nieboszczkę i bierzmy się za tamtego pechowca, póki jeszcze jest znośnie – podsumował kierowca, ocierając usta, gdy przyszła jego kolej. Jako pierwszy też wstał i zeskoczył do dołu, z łomem w jednej dłoni i młotkiem w drugiej. Raz jeszcze się przeżegnał, z kieszeni wyciągnął różaniec i przesunął palcem po koralikach. Potem go schował i z wprawą wsunął metalowy, spłaszczony pręt między deski.

Stuknął raz i drugi młotkiem w odpowiedni koniec. Pękające drewno trzasnęło. Potem zgrzytnęły wyciągane siłą gwoździe, wieko się zapadło, a ze ścian dołu osunęło się trochę ziemi i błota, gdyż deszcz przybierał na sile – krótka przerwa okazała się mieć katastrofalne skutki.

Młody walczył z drewnem z drugiej strony, spoglądając co chwilę na doświadczonego kolegę. Ostatni z trójki natomiast

stał na czatach, z lampą w garści, oświetlając dziurę w ziemi swym towarzyszom. Mając wzrok przyzwyczajony do mroku i nieatakowany jasnym światłem, mógł bez trudu wypatrywać stróża bądź innych, podobnych im „przedsiębiorców”. Znał się na tym. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że trzask drewna i chrzęst osuwanej ziemi szybko ustał.

Szum padającego deszczu i okazyjne pomruki burzy stanowiły odpowiednio ponure tło tej sceny; można by pomyśleć, że to wszystko jest wyjęte z chorej wyobraźni jakiegoś pulpowego twórcy. I nie było to dalekie od prawdy.

– Święta Mario i Józefie... – szepnął Steve, zwracając tym samym uwagę Adriena. Młody, dysząc ciężko, patrzył nieobecnym wzrokiem na otwartą trumnę, nie wierząc własnym oczom. W środku, nie licząc rzecz jasna piachu i błota, leżało ciało; młode, jeszcze nienadgryzione zębem czasu, choć trochę sine i z zapadniętymi policzkami. Robotnik zaniepokojony zachowaniem towarzyszy odwrócił się do grobu i pochylił, przyświecając lampą. Skrzynka z krzywo zbitych, sosnowych desek na pierwszy rzut oka nie wyglądała niepokojąco.

Problem w tym, że mężczyznom ukazała się brzemienne kobieta.

– Co jest? – warknął Adrien do kierowcy, złączając do dołu. Nie baczył na błoto i kamienie; dość brutalnie odsunął zszokowanego młodzika i kucnął, odrywając kilka pozostałych desek. Dostrzegł, że grób skrywał w sobie trumnę z ciałem młodej, ciężarnej kobiety. Robotnik zaklął szpetnie pod nosem, splunął przez ramię i znów zaczął mruczeć coś niewyraźnie.

Jako robol harujący w porcie od dnia do nocy miał silny charakter i nerwy ze stali, ale nawet on przejął się widokiem ciężarnej leżącej w grobie. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni

raz wyciągał i sprzedawał trupy, ale po raz pierwszy spotkał się z takim przypadkiem – kradł zwłoki matek, córek, nigdy jednak nie patrzył na spokojną twarz kobiety w zaawansowanej ciąży.

Jej nabrzmiały brzuch krył w sobie ciałko dziecka gotowego do wyjścia na świat.

Życie malca zakończyło się, zanim na dobre się zaczęło.

To była prawdziwa tragedia i chyba bezpośredni powód nagłego załamania Boba. Adrien przelotnie spojrział na bladego jak papier okularnika, który zaczął w panice wyłazić z dołu, brudząc się błotem i rozpaczliwie chwytając rękoma ziemię. Huknął kolejny grzmot, a niebo przecięła błyskawica, oświetlając cmentarz na jedno uderzenie serca upiorną bielą.

– Boże! – zawołał młodzik, opadając na kolana i wymiotując lichą treścią żołądka, gdzie dominował alkohol. Przewrócił się na plecy, zaczął kaszleć i drżeć na całym ciele. To był jego pierwszy raz; potrzebował na gwałt gotówki, a opcji zarobku nie było wcale tak wiele.

Pogrążony w ponurych myślach cisnął okulary precz i zacisnął mocno powieki, pozwalając, by zimny deszcz choć odrobinę go otrzeźwił i uspokoił. Z trudem powstrzymywał się przed wybuchnięciem płaczem.

– Skąd żeś go wystraszał? – zapytał zirytowany Collins.

– Myślałem, że się nada – odparł zgryźliwie kierowca, ale niezbyt mu to wyszło. – Nie robię się młodszy, długo nie pociągnę, a ktoś musi zająć moje miejsce, wiesz, że konkurencja nie śpi. – Splunął ponownie i zaczął odsuwać deski oraz ziemię, by móc dobrać się do ciała. Ujął kobietę pod ramiona, ostrożnie i niemalże czule, po czym zaczął ją podnosić z trumny.

Robotnik nie zwlekał i już po chwili chwycił nogi zmarłej, asekurując towarzysza, gdy ten wspiał się po mokrej ścianie zie-

mi, wyłaząc z dołu i ciągnąc za sobą ciało. Nikt nie marnował czasu, od razu też wzięli się do roboty i zaczęli zasypywać dziurę.

– Młody! Ruszże dupsko i chodź tutaj!

– Jezu, daj mu chwilę – rzucił wściekle Steve, opierając się o łopatę.

– W dupie to mam, nie będę odwalał sam całej roboty! – odparł równie agresywnym tonem robotnik, rzucając kolejną porcję ziemi do świeżo rozkopanego grobu.

Okularnik leżał jeszcze przez parę przeraźliwie długich chwil bez ruchu. Dopiero potem niezgrabnie dźwignął się na kolana i sięgnął po okulary. Ciągłe na klęczkach wykonał drżącą dłonią znak krzyża i spojrzał na doświadczonych rabusiów.

– Ja... chyba nie mogę... nie myślałem, że... Boże, ten smród i... – powtarzał słabym głosem, a łzy mieszały się z deszczem spływającym po twarzy. Uniósł głowę i rzucił przeproszające spojrzenie, aż w końcu dostrzegł twarz zmarłej. Tego było dla niego za dużo, podniósł się i coraz szybszym krokiem, ślizgając się na błocie, zaczął się oddalać.

– Ej, młody, wracaj! – zawołał kierowca, przeczuwając najgorsze.

– Kurwa, kogoś ty wziął! – krzyknął Adrien, odrzucając łopatę i ruszając w pogoń za spanikowanym okularnikiem. Rabowanie grobów z ciał nie było rzeczą łatwą ani przyjemną, ale takiej paniki to chyba nikt się nie spodziewał. Szybko dopadł panikarza, uderzył go raz a porządnie w twarz z otwartej dłoni i już miał ponownie wymierzyć policzek, gdy młodziak uniósł dłonie w beznadziejnym, poddańczym geście. Adrien zamarł, z ręką gotową do uderzenia.

– Proszę!

– Co „proszę”?!

– Ja... nie mogę, naprawdę! Panie Collins, proszę!

– Przez ciebie, ty głupi sukinsynu, marnujemy czas i ryzykujemy wszystko!

– Przepraszam!

– A w dupie mam twoje przeprosiny! Albo bierzesz łopatę i robisz z nami, albo spieprzasz do wozu i czekasz na nas, a jak tylko gdzieś uciekniesz, to pamiętaj, że cię znajdę i wiem, gdzie są puste trumny – wycedził, szarpiąc młodym okularnikiem, by w końcu go puścić. Młodzieniec zachwiał się i upadł na błocko, gdzie trwał przez chwilę sparaliżowany strachem.

W końcu kiwnął głową i powoli ruszył z powrotem w stronę rozkopanego grobu. Adrien, wkurzony i zmęczony, wrócił do kolegi i dokończyli pracę w – nomen omen – grobowym nastroju. Kilka minut później było już po wszystkim. Gdyby nie zdeptana ziemia dokoła i niezliczone ślady stóp odcisnięte w mokrym piachu i błocie, nikt by pewnie nie podejrzewał, że rozkopano grób.

Rabusie oddalili się z tego pechowego miejsca i ciężko wzdychając, zabrali się do pracy na nowo.

– Musi być koniecznie chłop i baba? Nie mogą być pierwsze lepsze ciała? I tak mamy już przewalone – rzucił cicho Adrien, wbijając łopatę jako pierwszy.

– Płaci nam za niedawno zmarłego mężczyznę i zmarłą kobietę – skwitował ponuro kierowca, odrzucając kolejną łopatę ziemi. Ukradkiem spojrzął też w stronę będącego na krawędzi załamania nerwowego okularnika. Groźba rośłego, portowego robotnika nie była bez pokrycia; rabowanie grobów nie było bowiem jedyną rzeczą, którą Adrien się parał. Steve o tym wiedział, lecz młody chłopak mógł się tylko domyslać.

W końcu łopata uderzyła o deski kolejnej trumny.

Raz, drugi. Trzeci.

I jeszcze jeden. Drewno wieka jęknęło pod naporem metalowego sztychu, aż w końcu puściło, zapadając się do środka – nie było czasu na zabawę z łomem, w ruch poszła prosta, brutalna siła. Rabusie od razu zareagowali, wiedząc, czym to się może skończyć i dla nich, i dla ciała. Adrien nawet odskoczył, bo gdyby tego nie zrobił, łopata mogła uderzyć w ciało i je uszkodzić, a tego nikt nie chciał. Profesor nie płacił za uszkodzony towar, tylko za świeży. Dobry, cały, nadający się do badań, czy co on tam robił.

Robotnik rąbnął plecami w błotnistą ścianę wykopu. Mokra ziemia i blocko posypały się ze wszystkich stron i dopiero to pomogło młodemu się otrzeźwić i uspokoić. Dyszał ciężko, a serce łomotało mu w piersiach jak jedna z fabrycznych maszyn. Okularnik od razu zaczął wyłazić z dołu, nie chcąc nawet patrzeć na ciało.

– Muszę się napić – burknął Adrien, patrząc szeroko otwartymi oczyma na trumnę i rozwalone deski.

– Mądrze gadasz – potwierdził kierowca, ocierając mokre czoło. – Młody, przydaj się na coś i daj flaszkę – rzucił głośniejszym głosem do okularnika. Deszcz nachodził teraz falami. Nie przybierał i nie tracił na sile, był co najwyżej uciążliwy.

Dotarli do trumny i pozwolili sobie na krótką przerwę. Alkohol w takich sytuacjach pomagał – tłumiał lęki i niepokój, znieczulał i okrywał ciało oraz duszę przyjemną pierzynką obojętności. A kopanie i transport ciała można było zrobić i we dwóch, choć było to trochę trudniejsze. Na pomoc najmłodszego z nich nie mieli już co liczyć; gdyby miał dotknąć ciała, to pewnie by zemdlął.

Po krótkiej chwili – nie zamierzali ryzykować więcej, niż było to konieczne – wrócili do przerwanej pracy. Oderwali resztę de-

sek z trumny, przyjrzeni się ciału dorosłego, dojrzałego mężczyzny z bokobrodami i wymienili znaczące spojrzenia.

To był ktoś, za kogo z czystym sumieniem dostaną kupę kasy.

– Ciężki skurczybyk, a nie wyglądał! – stęknął Adrien, kładąc trupa na sporym kawałku brezentu, bez wątpienia skradzionym z portu. Steve z wprawą doświadczonego grabarza owinął ciało i przyłożył różaniec do głowy zmarłego na jedną chwilę, po czym wyprostował się i przycisnął dłonie do pleców. Było późno, deszcz nieustannie padał, ale przynajmniej burza przeszła bokiem. Odległe grzmoty i błyskawice napawały optymizmem.

To była jedyna pozytywna rzecz tej przeklętej nocy.

– Wracamy? – zapytał cicho okularnik.

– Wracamy, a jak komu co piśniesz, to sam wylądujesz w tym grobie – warknął robotnik, zasypując dół szybko, niedbale. Gdy kupa ziemi przybrała mniej więcej właściwe kształty, sapnął i sięgnął po ciało. Zwłoki mężczyzny, grubego i elegancko ubranego, zarzucił na ramię z wielką wprawą przypinającą o gęsią skórkę.

Szczątki ciężarnej kobiety przypadły pozostałej dwójce. Kierowca splunął w dłonie i podniósł zawinięte w brezent ciało, czekając, aż młody chłopak zrobi to samo. Odchrząknął, stojąc w strugach wiosennego deszczu, a okularnik dopiero po chwili złapał nieboszczyka. Z obrzydzeniem wymalowanym na bladej twarzy zaczął człapać w stronę muru.